

ni i bezradni. Nie mają pomysłu ani determinacji na replikę. Nie organizują się w skuteczny sposób, nie przeciwdziałają stanowczo w przestrzeni publicznej, nie wchodzą (tam, gdzie się jeszcze da) w realny i wartościowy dialog. W grze o sumie zerowej, jaką jest walka o dyskurs publiczny, katolicyzm bezwiednie oddał pola hasłom zupełnie z nim sprzecznym. Popularne są zaś strategie obłąconej twierdzy, zgrywania autorytetu tudzież błogiego udawania, że nie jest źle – te postawy nie odwrócą jednak tendencji agresywnie laicyzacyjnej.

Nie jeden podnosi się na duchu znanym cytatem z Josepha Ratzingera: „Z dzisiejszego kryzysu wyłoni się Kościół, który straci wiele. Będzie Kościołem bardziej duchowym (...). Wtedy ludzie zobaczą tę małą trzódkę wierzących jako coś kompletnie nowego: odkryją ją jako nadzieję dla nich, odpowiedź, której zawsze w tajemnicy szukali”. Przyjęto tu jednak założenie, na które nie mogę przystać: że katolicyzm zacznie od zera, na nowo stanie się czymś nowym. W historii nie ma jednak powrotu do stanu pierwotnego; czas nigdy się nie cofa. Gdy Kościół spróbuje się podnieść z upadku, znów wypomną mu jego liczne grzechy. I nierzadko wypomną, słusznie wskazując, ile to razy wzbudziłyśmy sprawiedliwe oburzenie. Na hasło „katolicyzm – tak, wypaczenia – nie” raczej nikt się nie da nabrać.

Jest więc we mnie jedno bardzo dojmujące, ale szczere przekonanie. Upadek, który dzieje się na naszych oczach, nie może być już odwrócony. Stawka, o jaką teraz

się staramy, to już tylko wielkość marginesu społecznego, na jakim się znajdziemy; tych kilku (może kilkunastu) procent, które zostaną w kraju, który kiedyś puszył się jako ponoć arcykatolicki. I o ten margines warto się starać, pomimo trudów i przeciwności. Takie jest zadanie dane nam przez Chrystusa. Takie są też najgłębsze potrzeby ludzi, z których każdy przecież w głębi serca pragnie Boga. ■

Tomasz Krzyżak

W trzydzieści lat po upadku komunizmu Kościół w Polsce znalazł się na ostrym wirażu i musi poważnie zastanowić się nad tym, jak jego przekaz – w tym nauczanie papieskie – jest odbierany. Mamy kryzys i widoczny jest on na wielu poziomach. Można byłoby nawet powiedzieć, że mamy do czynienia z wieloma kryzysami. Z jednej strony będzie on dotyczył duszpasterstwa na poziomie parafialnym, z drugiej – kwestii powołań do kapłaństwa i życia zakonnego, z trzeciej zaś niewątpliwie widzimy dziś kryzys instytucjonalny. We wszystkie weszliśmy niejako z opóźnieniem. Procesy sekularyzacyjne, przez które przeszły Kościoły np. we Francji, Austrii czy Niemczech, dopiero niedawno do nas dotarły, ale owa „pełzająca” czy też „powolna” sekularyzacja w ostatnim czasie zaczęła mocno przyspieszać. Kościół powszechny przechodzi obecnie przez drugi kryzys posoborowy. Kościół w Polsce stoi jednak przed pierwszym kryzysem. Niepokojów z lat 70., które „rozsadziły” Kościoły lokalne we Fran-

cji, Holandii czy Niemczech, udało nam się dzięki dalekowzroczności kardynałów Stefana Wyszyńskiego i Karola Wojtyły uniknąć. Paradoksalnie nasz Kościół przed rozmontowaniem go od wewnątrz uchroniła też komuna. Przez żelazną kurtynę nie przedzierały się do nas posoborowe nowinki, a lud trwał przy wierze ojców. Dziś jednak jesteśmy na zakręcie i Kościół musi poważnie zastanowić się nad tym, czy jego przekaz trafia tam, gdzie trafić powinien. Posługując się językiem Ewangelii, musi się zastanowić, czy ziarno, które rzuca siewca, trafi na glebę żyzną i da „plon obfity”, czy też trafi między ciernie, gdzie obumrze.

Oznak tego, że Kościół w Polsce wchodzi w jakiś kryzys, jest sporo. Weźmy chociażby statystyki dotyczące uczestnictwa w niedzielnych mszach świętych (*dominantes*). Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego (ISKK) prowadzi je od początku lat 80. W roku 1981 co tydzień do kościoła chodziło 51 proc. zobowiązanych. Taki stan utrzymywał się z niewielkimi wahaniami, mieszczącymi się w granicach błędu statystycznego, do początku lat 90. Od roku 1991 liczba katolików chodzących do kościoła systematycznie spadała co roku o 1–2 proc. (z 50,3 proc. w 1990 do 38,3 proc. w 2017).

Podobne – rok do roku pozornie niewielkie – spadki obserwuje się w odniesieniu do osób, które zaczynają naukę w seminariach duchownych. Od początku pontyfikatu Jana Pawła II liczba kleryków pierwszego roku w seminariach diecezjalnych szła w górę. Rekordową liczbę (1145

osób) przyjęto w 2005 – roku śmierci Jana Pawła II. Od tamtego czasu obserwujemy spadki. W roku 2007 było ich już 786, w 2008 – 695, w 2013 – 589, w 2014 – 586, w 2015 – 538, a w 2016 roku – poniżej 500. To oznacza, że w ciągu dekady (między 2007 a 2016 rokiem) liczba alumnów pierwszego roku spadła aż o 39 proc. W porównaniu zaś do rekordowego 2015 roku była niższa aż o 58 proc. Średnia alumnów na pierwszym roku jest jedną z najniższych w całej powojennej historii Kościoła w Polsce! W ciągu pierwszych pięciu lat po II wojnie światowej do seminariów przyjmowano średnio 563 kandydatów, a w pierwszej połowie lat 60. – 507. W poprzednim roku liczba przyjętych na pierwszy rok była wprawdzie nieco wyższa, ale o stabilizacji nie możemy na razie mówić.

Zmniejszająca się liczba powołanych to także mniejsza liczba nowych księży. Ktoś powie, że się mylę, bo statystyki podają, że liczba księży z roku na rok rośnie. To prawda. Ale wzrost ten bierze się z wydłużającej się średniej długości życia Polaków – według danych GUS przeciętny mężczyzna w Polsce żył w roku 2005 niespełna 71 lat, w 2010 72 lata, a w 2015 roku prawie 74 lata. Tendencję widać w statystyce. Według rocznika „Kościół katolicki w Polsce 1991–2011” w roku 2005 księży niespełna 30-letnich było 2081, między 31 a 40 rokiem życia – 6360, a powyżej sześćdziesiątki – 5435. Pięć lat później duchownych przed trzydziestką było 2065, w grupie wiekowej 31–40 lat – 5161, a mających ponad 60 lat – już 5888. Innymi słowy:

przybywa emerytów, ale ubywa księży młodych.

Na marginesie trzeba dodać, że z roku na rok rośnie liczba kapłanów, którzy porzucają kapłaństwo. Oficjalnych statystyk nikt w tym zakresie nie prowadzi, ale dość wspomnieć, że tylko jednego roku w jednej z największych polskich diecezji sutanny zrzuciło prawie 20 duchownych ze stażem niższym niż pięć lat! W ostatnim czasie obserwowaliśmy zaś wszyscy publiczne zrzucenie sukni duchownych przez kilku znanych kapłanów.

Inną oznaką kryzysu może być fakt zmniejszającej się systematycznie od kilku lat liczby uczestników pieszych pielgrzymek na Jasną Górę. Nie ma co zaklinać tu rzeczywistości, ale topnieją one w oczach. W 2004 roku na dwa najważniejsze święta na Jasnej Górze: Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny (15 sierpnia) i Matki Boskiej Częstochowskiej (26 sierpnia), pieszo do Częstochowy przyszło łącznie ok. 145,5 tys. pielgrzymów. W roku 2016 było ich jedynie 97,3 tys., a w 2004 tylko na 15 sierpnia przyszło 103 tys. pątników!

Ktoś powie, że mniejsza ilość pątników pieszych w Częstochowie to skutek tzw. wygodnictwa. Bo przecież dziś przy ogromnym postępie cywilizacyjnym Polacy jadą na Jasną Górę samochodem, by nie męczyć się pieszo. Ale znów średnia liczba wszystkich pielgrzymów w Częstochowie spadła w ciągu kilku lat z 6 mln rocznie do ok. 4,5 mln. I ten odpływ pątników z najważniejszego w Polsce sanktuarium również powinien dawać do myślenia.

Nie bądźmy jednak pesymistami. Kościół w Polsce jest mocny w działalności charytatywnej. Jest największą instytucją charytatywną w naszym kraju. Z raportu ISKK na ten temat wynika, że w 272 instytucjach kościelnych (poszczególne diecezje oraz żeńskie i męskie zgromadzenia zakonne) działa ponad 800 podmiotów świadczących pomoc charytatywną. Prowadzą one ok. 5 tys. dzieł, a korzysta z nich prawie 3 mln beneficjentów (liczba udzielanych świadczeń, z których mogą kilkakrotnie korzystać te same osoby). Charytatywne organizacje kościelne to także dość duży pracodawca. Według danych ISKK na koniec 2014 roku zatrudnionych na umowę o pracę było w nich ok. 33 tys. osób. A liczba wolontariuszy wynosiła 88 tys. osób. Z kolei w poszczególnych parafiach w działalność charytatywną włącza się ok. 665 tys. osób – w tym ok. 454 tys. w sposób aktywny. Ale w Niemczech tamtejszy Kościół też jest potęgą charytatywną...

Do całości obrazu wypadałoby jeszcze dodać postawy Polaków w odniesieniu do nauczania Kościoła. Mam przed sobą badanie ISKK dotyczące akceptacji Polaków dla współżycia przed ślubem. Jedynie 30,9 proc. badanych uznało, że jest ono niedopuszczalne; 43,8 proc. stwierdziło, że jest dopuszczalne, a 15,7 proc. uznało, że zależy to od sytuacji. W tym samym badaniu zapytano także o stosowanie środków antykoncepcyjnych. Za dopuszczalne uznało je 46,7 proc. respondentów. Odmiennego zdania było 27,1 proc., a 20 proc. orzekło, że zależy to od

sytuacji. Tego typu odpowiedzi udzieliły osoby, które w 60,8 proc. uznawały się za wierzące, 20,1 proc. za głęboko wierzące, pozostali (19,1 proc.) byli niewierzący, obojętni lub niezdecydowani! Niestety podobne postawy mamy w odniesieniu np. do kwestii aborcji czy zapłodnienia pozaustrojowego *in vitro*.

Jak tłumaczyć opisane tu zjawiska? Czy faktycznie Kościół w Polsce wkroczył na drogę, którą przeszły przed laty Kościoły lokalne w Europie Zachodniej? Kto za to odpowiada? Jaki los czeka chrześcijaństwo w Polsce?

Jednoznacznych odpowiedzi na te pytania nie da się chyba znaleźć, bo przyczyny każdego kryzysu są wielopłaszczyznowe. Wedle obowiązującej obecnie w środowiskach naukowych, które badają przyczyny sekularyzacji, narracji Kościół na Zachodzie znalazł się w kryzysie, bo jego wierni są coraz lepiej wyedukowani i zamożniejsi, a w związku z tym z coraz większym sceptycyzmem podchodzą do wiary, a religia nie jest im do niczego w życiu potrzebna. Chrześcijaństwo – zgodnie z zapowiedziami Maxa Webera, Zygmunta Freuda, Karola Marksa i innych modernistów – prędzej czy później z pewnością upadnie. Socjolog Philip S. Gorski swego czasu ułożył kilka scenariuszy przyszłości religii w ramach paradygmatu sekularyzacji: transformacja, prywatyzacja, zanik i upadek. Obserwatorzy polskiego Kościoła powiedzą, że opisane przez Gorskiego procesy są już u nas widoczne. Religia w dużym stopniu została zepchnięta do sfery prywatnej i powoli

zaczyna zanikać. Postępującego upadku nie da się zatrzymać.

Szukający winnych polskiego kryzysu w pierwszej kolejności wskazują na biskupów. Wedle ich argumentacji hierarchów uśpiły najpierw trudne czasy PRL, w których Kościół jawił się jako ostoja wolności i przyciągał tłumy. W drugiej kolejności czujność osłabił długi pontyfikat św. Jana Pawła II, który był swego rodzaju magnesem trzymającym wiernych w kościołach.

Trudno się z tym nie zgodzić. W pierwszych latach po roku 1989 Kościół bardziej zajął się walką o odzyskanie posiadania, nie zaś troską o dusze. Biskupi zabiegali o zwrot majątków, podpisanie konkordatu, przywrócenie religii do szkół. Błyskawicznie przeprowadzono reformę administracyjną i zwiększono liczbę diecezji. A dziś coraz częściej mówi się o tym, że trzeba ją zmniejszyć. Kolejna kwestia to zbyt bliskie związki hierarchii z polityką. Na początku lat 90. wielu biskupom wydawało się, że mogą, a nawet powinni zająć się jej kreowaniem. Za tamte błędy – brak odczytania znaków czasu – Kościół płaci do dziś. A obecnie dochodzi do tego jeszcze kwestia wykorzystywania małoletnich przez niektórych duchownych. Sprawa wstydliva, przez lata skrzętnie ukrywana, a dziś przez wielu niechętnie rozliczana.

Z całą pewnością za wcześniej jest na to, by Kościołowi w Polsce pisać nekrolog, ale wydaje się, że – zarówno biskupi, kapłani, jak i my wierni powinniśmy zacząć poważną debatę o stanie Kościoła. Póki nie jest na nią jeszcze za późno. Nie będzie ona łatwa ani krótka, ale czas ją wreszcie

zacząć i przestać udawać, że wszystko jest dobrze. ■

Piotr Sikora

1

Zanim spróbuję odpowiedzieć, chciałbym przywołać kilka danych z socjologicznych badań religijności Polaków (wszystkie badania autorstwa CBOS). W badaniu z 2006 roku pytano o znaczenie wiary w życiu codziennym i wtedy 77 proc. badanych uważało wiarę za ważną lub bardzo ważną w swoim życiu. Jednak gdy – w tym samym badaniu – respondenci zostali poproszeni o wymienienie pięciu najważniejszych komponentów życia, wiarę wymieniło tylko 28 proc. respondentów. W innych badaniach, niepoświęconych wprost wierze, gdy przedstawiono ludziom listę wartości ważnych w życiu i proszono o wybranie z tej listy kilku dla nich osobiście najważniejszych, wiara była wybierana (jako jedna z kilku) przez 19 proc. respondentów w 2005 roku, zaś przez 12 proc. w 2013. Jeszcze bardziej znamienne są badania, w których Polacy mieli sami nazwać, co jest w ich życiu najważniejsze oraz do czego w życiu dążą. W tych badaniach (oba z 2006 roku) sprawy dające się powiązać z wiarą religijną wymieniał ok. 1 proc. (słownie: jeden procent) respondentów.

Gdy porównamy te dane z wynikami badań, w których respondenci mieli zadeklarować się jako wierzący bądź niewierzący oraz określić, jak często biorą udział w praktykach religijnych (tu wiarę

deklaruje ok. 90 proc. respondentów, zaś co najmniej cotygodniowe praktyki ok. 40 proc. – choć i te liczby maleją), nasuwa się wniosek, że wiara Polaków (czyli wiara większości członków Kościoła w Polsce) jest zasadniczo deklaratorywna i rytualistyczna. W perspektywie, w której autentyczna wiara jest podstawowym, fundamentalnym dążeniem życiowym, tym, co nadaje sens całej egzystencji i nią kieruje – a sądzę, że jest to perspektywa biblijna – trzeba powiedzieć, że tylko kilka procent polskich katolików to ludzie wierzący. Z badań socjologicznych wynika więc, że większość polskiego katolicyzmu to raczej kulturowy folklor.

Na powyższy obraz nakłada się obraz drugi – tym razem bardziej hipotetyczny, bo zbudowany w oparciu nie o badania socjologiczne, lecz moją osobistą obserwację rzeczywistości: miejsc w Kościele, z którymi mam kontakt, a także „katolickiego internetu”. Ów drugi obraz sugeruje, że wiara ludzi z wielu (a może i większości) bardziej zaangażowanych środowisk ma charakter „defensywny”, podszyty „teologią lęku”, która niemal wszędzie widzi zagrożenia: magiczne „zagrożenia duchowe” książkami o Harrym Potterze i ozdobami przywiezionymi z egzotycznych krajów; albo zagrożenie (nieprzyjeżdżającymi do Polski) islamskimi imigrantami, którzy zniszczą naszą tysiącletnią cywilizację chrześcijańską; lub zagrożenie osobami LGBT+, które (nawet żyjąc w kochających się, trwałych związkach) niszczą zdrową, silną, tradycyjną polską rodzinę.